

MICHAŁ KUSZEWSKI

PIOMIENIE
IMOREN



ALYN • TOM II

Michał Kuszewski

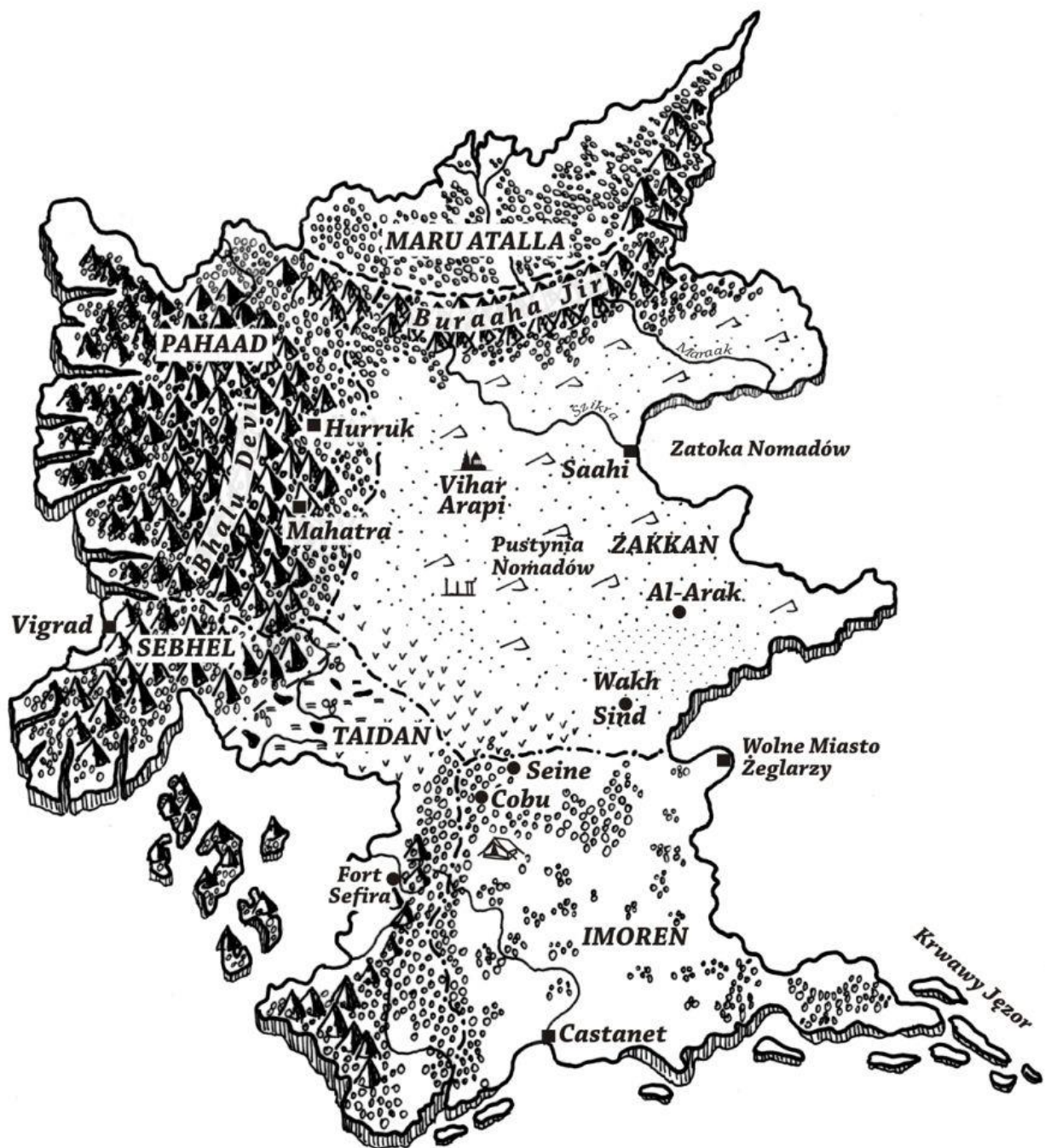
Płomienie Imoren

Dla Izy.

SPIS TREŚCI

PROLOG	3
CZĘŚĆ I	4
ROZDZIAŁ PIERWSZY	5
ROZDZIAŁ DRUGI	17
ROZDZIAŁ TRZECI	25
ROZDZIAŁ CZWARTY	29
CZĘŚĆ II	36
ROZDZIAŁ PIĄTY	37
ROZDZIAŁ SZÓSTY	46
ROZDZIAŁ SIÓDMY	56
CZĘŚĆ III	62
ROZDZIAŁ ÓSMY	63
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	71
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	78
ROZDZIAŁ JEDENASTY	87
ROZDZIAŁ DWUNASTY	95
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	100
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	111
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	117
ROZDZIAŁ SZESNASTY	123
CZĘŚĆ IV	129
ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCI	130
ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCI	138
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY	148

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY	160
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY	171
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI	179
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI	192
EPILOG	201



Blichtr płynie z miasta, mądrość z pustyni.
– *Diuna*, Frank Herbert (przekł. M. Marszał)

PROLOG

– Szybko! – wysapała złodziejka w stronę dziewczyny. – Nie oglądaj się!

– Wracaj tu! Natychmiast! – mężczyzna ryknął za ich plecami po imoreńsku, po czym wyszczekał serię rozkazów w języku Taidńczyków.

Jej koniec zagłuszyło przerażające wycie, na którego dźwięk – ignorując swoją własną radę – Alyn odwróciła głowę. Zanim dym na powrót przesłonił jej cały widok, dojrzała tylko potężny cień, który spadł na zaskoczonych żołnierzy jak lawina.

– Vaala... – szepnęła złodziejka.

Ale jej głos uleciał w szeleście rozgarnianych liści i trzasku łamanych gałęzi. W następnej chwili w jej nozdrza z pełną prędkością wbił się smród odchodów. I nigdy... Nigdy nie spodziewała się, że kiedykolwiek przywita go z taką ulgą.

Była poza granicami. Biegła przed siebie. Biegła na złamanie karku, trzymając się nadziei i dłoni, którą ścisnęła tak, jakby puszczenie jej oznaczało zagładę dla całego Zakkanu. Dla całego Rowan. Brakowało jej tchu, w jej żyłach buzował płynny ogień i czuła, że jeszcze moment i padnie nieprzytomna. Zaczęła już mieć omamy – tuż obok niej w mroku nocy mignęła sylwetka pochylonego wielkoluda. Wysoko między liśćmi świeciło szeroko rozwarte oko księżycy. Las wokół niej zaczął pochylać w ciekawości swe pnie i przeraźliwie skrzeczeć.

A potem, w jednej chwili, wszystko zamilkło. Dół przestał być dołem, a góra górą. Ktoś lub coś pociągnęło jej ramię. Za ramieniem podążył tułów. W plecy uderzył ją mech. Nad jej głową rozpostarł się czarny most zwalonego pnia. Świat zatrzymał się w pół kroku.

Leżała tak chwilę w bezruchu. Oddychając. Chłonąc słodycz wolnego od dymu i smrodu powietrza. Odwróciła głowę. Z wielką uwagą i troską patrzyły na nią znajome oczy. Twarz wokół nich była umazana krwią, włosy zlepione w twarde, błyszczące się zawijasy.

– Będą szukać – powiedziała twarz – ale tu nas nie znajdą. Wszystko w porządku?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na wspomnienie widoku sprzed dosłownie kilku chwil (a może minęły już miesiące?) w jej oczach zebrały się łzy.

– Co z... – wychrypiała po kilku chwilach, gdy jej przętyk na powrót się otworzył.

– Śpi. Mamy czas. Dobra robota. – Twarz skinęła na to, co wystawało zza jej pazuchy. – Jestem z was dumny. Nie spodziewałem się, że... Hej, nie odpływaj. Alyn. Alyn, mów do mnie. Nie możesz stracić przytomności. Nie teraz. Potrzebuję, żebyś tu teraz ze mną była. Opowiedz mi coś. Opowiedz mi wszystko.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zły i obrażony

Wróciłem.

A wierzba stoi w ogrodzie.

– Ryota (przekł. Cz. Miłosz)

Trzy miesiące wcześniej

„Boski Wiatr” lamentował. Trzeszczał głośno i przeciągle, jakby kulił się sam w sobie przed nadejściem sztormu. Bałwany lizały jego kadłub przy każdym przechyle, śliniły się obficie i zraszały gdzieś na górze pokład słonym deszczem. Bawiły się jego drewnianą łupiną jak dziecięcą zabawką. Alyn czuła, że kajuta, którą dzieliła z Torynem, na przemian rozdyma się i kurczy, jakby łąpczywie zaczerpywała powietrza. Przytrzymując zwinięte na koi, na poły bezwładne ciało brata, złodziejka przyłapała się nawet na tym, że sama oddycha w rytm jęknięć zmęczonych wręg szkunera.

W jej dłoniach zaszeleściły kartki notatnika, w którym Toryn zwykł spisywać swoje spostrzeżenia. Przeczytała już niemal wszystko, czemu poświęcił czas w trakcie swego półrocznego pobytu na Kaim. Całą, choć skróconą historię wyprawy z Rowan do Zakkanu, gdy byli jeszcze dziećmi, a potem lata życia na ulicach Saahii, stolicy pustynnego kraju. Wreszcie swą wyprawę na tajemniczą wyspę i odkrycie, jakiego dokonał we wnętrzu wznoszącej się nad księstwem Góry Gigantów.

To przez to odkrycie właśnie, przez starożytny byt, który te kilka osób znających jego tajemnicę nazwało Maszyną, tak bardzo podupadł na zdrowiu. W miarę upływu czasu jego pismo stawało się coraz mniej wyraźne, a zdania, którymi spisał najświeższe notatki, Alyn musiała czytać kilkakrotnie, by wyłowić z nich sens.

Ale to nie był problem. Nie widziała swego jedyne go brata od dawna. Przez pół roku nie wiedziała, co się z nim dzieje. Chwila wyęźniania wzroku i umysłu jawiła się przy tym jako śmiesznośćka.

Toryn pisał:

„Nie sposób, na Isztar, dobrać odpowiednich słów do wagi tego, co działo się – i ciągle przecież dzieje – na Kaim. To namacalny, przytłaczający i wciąż wymykający się mojemu pojęciu dowód na istnienie bogów. A jeśli nie bogów, to Boga. A jeśli nie Boga znowuż, to... Nie wiem. Nie wiem! Oto ktoś lub coś może się znaleźć tak blisko, tak bezpośrednio w stosunku do zwykłego człowieka... a jednocześnie być zamkniętym w jaskini gdzieś hen na zboczu zakrytym przez mgłę i deszcz. Oto ktoś lub coś pozwoliło wejrzeć w siebie, w swą starożytną konstrukcję, zwyktemu ludzkiemu władcy. Zwyktemu ze swymi wszystkimi zaletami, jak i przywarami. Całą masą strasznych, okrutnych przywar”.

Tu pod rzędem pochylonych i połamanych do granicy przyzwoitości liter znajdował się równie koślawy

szkic. Widniała na nim Góra Gigantów i wpisany w nią wizerunek przygarbionego mężczyzny, najprawdopodobniej Księcia Geremy'ego.

„I ja zająłem tam, gdzie nikt zaglądać nie powinien. Zakosztowałem słodyczy Wiedzy. I czasami myślę, że trzeba było jednak zostać w domu, z Alyn i Kai, wieść proste życie, mieć wszystko w dupie. Bo przecież gdyby nie Alyn, gdyby nie moja siostrzyczka, nie byłoby dla mnie powrotu. Ledwo piszę. Cieknie ze mnie ze wszystkich otworów, wstydzę się tego, co zrobiłem, czego nie zrobiłem i co było na Kaim moim udziałem. Ale przetrwam to, klnę się na Isztar. Przetrwam i zaopiekuję się nią, bo i ona zaopiekowała się mną, gdy uchodziliśmy z wyspy, ona mnie zabrała do Yarren i zaokrętowała na ten statek, ona zapłaciła za ten rejs, Isztar wie, jaką walutą. I ona, z mojej głupoty, dotknęła owej przeklętej Wiedzy. A to oznacza, że też będzie cierpieć. Prędzej czy później”.

Gdy przeczytała ostatnie słowa, Alyn poczuła dreszcz, który wdrapał się w nieprzyjemny sposób po jej plecach i zanurzył swą lodowatą dłoń w jej włosach. Oderwała wzrok od notatnika i wyteńczyła słuch. Jej uszu dobiegły nowe dźwięki dobiegające zza drzwi kajuty. Były to zaciągające po kaimiańsku głosy synów Margo.

– Dzień daję chłopinie, góra dwa!

– Ażeby dzień nawet! Do wieczora nie wytrzyma! Pomóc mu, powiadam, trzeba! Rach, ciach, rozumiesz, he, he!

– Hola, hola! Ja tam na przewóz trupów się nie pisałem! Nie taka była umowa! Co nie, *vaika*?!

To nie był pierwszy raz. Tego wieczoru było ich trzech. Z Torynem z każdym dniem było coraz gorzej, a oni z każdym dniem byli coraz bardziej rozochoceni. Mówili coraz głośniej. Coraz mniej do siebie nawzajem, a coraz bardziej w jej stronę. Droczyli się. Straszili.

Synowie kapitan Margo, załoga „Boskiego Wiatru”. Mieli dowieść rodzeństwo do Zakkanu w skrusze i pokorze. Wszak gościli obrońców Kaim. Bohaterów ich ziemi.

– Bohaterka – powiedziała bezgłośnie Alyn i parsknęła, gdy tylko nieme słowo wykrzywiło jej usta.

Czuła się nią. Choć siłą rzeczy niewielu miało usłyszeć opowieść o jej dokonaniach, przez pierwsze dni po opuszczeniu wyspy czuła się prawdziwą zwyciężczynią. Wojowniczką z legend, nie przymierzając. Jakby u kresu swej podróży na Górę Gigantów stanęła na szczycie świata, dosłownie i w przenośni.

Ale potem choroba uderzyła z pełną mocą. Najpierw w Toryna. Potem ją samą dopadły skurcze, drgawki i gorączka – prawdziwi zabójcy wszelakiego heroizmu.

Niebieska krew. Ich ciała, ich żyły upominały się o życiodajny płyn Maszyny, haracz za to, co Toryn nazywał Wiedzą. Protestowały przeciw jego braku z pełną mocą, obracając się przeciwko nim samym. Jej brat przeżywał to o wiele ciężiej. Od czwartego dnia nie był w stanie podnieść się z koi, od piątego zaczęła się gorączka i dreszcze. A statkiem bujało coraz bardziej.

Synowie Margo z każdym dniem tracili do nich ów tajemniczy respekt, pod aurą którego znaleźli się, gdy tylko rodzeństwo wkroczyło na pokład i kazało się zawieść z powrotem do Saahii. Alyn gdzieś w głębi wiedziała dlaczego. Wszystko, cała iluzja – czy to wielkości jednostki, czy dobrobytu całego księstwa – nikło po oddaleniu się od ich źródła. Od Kaim. I Żółwia...

Dlatego już kilka dni po wypłynięciu załoga „Boskiego Wiatru”, Szalona Margo i jej synowie, zaczęli widzieć to, czego nie widzieli na ładzie. Dostrzegli to, co nauczyli się wyczuwać podskórnice u tych, których traktowali jak ofiary.

Desperację.

Zaczęły się pozornie niewinne komentarze, potem niby przypadkowe szturchnięcia. Wiatr i deszcz sztormu wytopiły z nich resztki szacunku do rudego rodzeństwa. I to oni znów byli górą. I to znów był ich statek.

– Puk, puk! Jest tam kto?!

– Daj spokój, pewnie nie chcą towarzystwa! Wiadomo, co tam robią?! Niby rodzeństwo, ale wiesz, co mawiają o Rowańczykach, he, he!

Lubili straszyć i nękać. Podczas pierwszego rejsu, na Kaim, znakomicie ukrywali to, mając do czynienia z całą grupką pasażerów. Ale i wtedy, jakkolwiek podświadomie, Alyn dostrzegała fragmenty ich prawdziwych twarzy. Tych, które kryli za uśmiechem, udawaną sympatią. Teraz dopiero ich maski opadły.

Nie wiedzieli tylko jednego. Alyn nie czuła strachu. Mogła dokładnie wskazać moment, w którym uczucie lęku opuściło ją – choć jeszcze wtedy nie była tego świadoma – a jego miejsce zajął kotłujący się gniew. Nie chciała o tym myśleć. Wystarczyło, że gdy tylko zamykała oczy, widziała obraz Godryka wbijającego jej w udo nóż w ciemnej, zadymionej jaskini.

Powiedziała sobie, że prędzej czy później się z tym upora. Ale jeszcze nie teraz.

Tymczasem do niewyraźnych pokrzykiwań marynarzy dołączył odgłos walenia w drzwi.

– Rodzeństwo, powiadasz? Ja tam bym popat...

Najmłodszy z braci, Joelyn – chłystek, którego jeszcze kilka tygodni wcześniej Alyn widziała, jak po dziecięcemu tańczył na tyłku po ujrzeniu wyłaniających się z morza brzegów Kaim – nie zdążył dokończyć zdania. Skrzydło otwarło się z impetem i wyrznęło sękatą dechą w jego czoło. Odepchnęła odbite od marynarza drzwi i pojawiła się w progu kajuty, zionąc z oczu żywym ogniem. Ruda furia. W dłoni dzierżyła szczerbaty, zardzewiały widelec, który znalazła wciśnięty między koję i ścianę dwie noce wcześniej. Trzymała go w zaciśniętej pięści zębami do tyłu – tak, by za moment skoczyć na kogoś i dźgnąć go od góry.

Czuła, że była, kurwa, gotowa zrobić to w każdej chwili.

Widząc jej wzrok, bracia gramolącego się z ziemi poszkodowanego cofnęli się, ale tylko nieznacznie. Wciąż mieli przewagę liczebną. Wciąż byli silniejsi. Zastanawiali się tylko – poznała to po ich spojrzeniach – czy mają wystarczająco dużo woli, by ryzykować starcie z kimś, kto ewidentnie postradał zmysły.

– No, dalej – warknęła z zaciśniętą szczęką. – Na co byś popatrzył?

Na moment oświetlone kilkoma zmęczonymi sztormem kagankami sylwetki zamarły w ciszy jak spłoszone psy. Jakby pod pokładem szkunera czas zatrzymał się i jał zastanawiać nad tym, jak to wszystko dalej się potoczy.

A potem kadłubem wstrząsnęło kolejne zderzenie z potężną falą i ruch na schodach wiodących na pokład sprawił, że cała czwórka odwróciła głowy w ich stronę. To była Margo. Obserwowała sytuację od samego początku, a teraz podniosła się ze stopnia. Na jej widok marynarze cofnęli się jeszcze o krok od Alyn. Opuścili ręce i głowy.

– Na górę, chłopaki. Raz, dwa – powiedziała, nie podnosząc głosu. – A ty, *vaika*, chodź za mną. Porozmawiamy.

Złodziejka poczekała, aż marynarze wyjdą na pokład, po czym rzuciła okiem za siebie. Toryn wspierał się na łokciu. Miał zmęczone, podkrążone oczy i rozbiegany, szukający znajomej twarzy wzrok. Ale był przytomny.

– Nie martw się, nic mu nie będzie. Chodź, no – rzuciła kapitan i wyszła.

Złodziejka z trudem rozluźniła palce zaciśnięte na improwizowanej broni. Widelec z brzękiem upadł na podłogę.

*

Gdy tylko postawiła nogę na pokładzie, wyjąca ściana wiatru niemal pozbawiła ją równowagi. Jej ubranie natychmiast nasiąkło wodą, a na twarzy i ramionach poczuła kłujące szpilki ulewy. Wysoko nad jej głową błyskawica drżącą ręką wyrysowała na chmurze rozjarzone drzewo i znikła. Przez moment Alyn czekała na odgłos gromu, ale wiatr zagłuszał wszystko, pozostawiając w jej uszach jedynie nieznośny hałas. Ciężkie obłoki zakrywały niebo aż po horyzont, wzdłuż którego hen daleko rysowała się nitka przejaśnienia.

Ostrożnie stawiając kroki na mokrych deskach, walcząc z przechyłami, złodziejka przemierzyła pokład. Rzuciła okiem na najstarszego z braci, który z zapamiętaniem walczył na rufie ze sterem, i otworzyła drzwi kajuty Margo. Zawahała się na moment, a potem wśliznęła się do środka.

Od razu rzucił się w jej oczy przewrócony, kiwający się zydelek, na którym pierwszego dnia rejsu na Kaim – dawno, dawno temu – siedziała nago, kiedy przesłuchiwała ją Margo. Poza tym jednym wyjątkiem pomieszczenie było jak zwykle schludne na swój ascetyczny sposób. Światło dyndającej na łańcuchu lampy miotało cieniami mebli i przedmiotów, jakby brały udział w tanecznej, mrocznej pantomimie. Kapitan stała bokiem przy barku. Jedną ręką wyciągała grubą butelkę trunku o głębokiej barwie drewna, a drugą – Alyn nie była pewna, czy dobrze to dostrzega przez rozmazaną wilgoć na swoich szklach – podtrzymywała ludzką czaszkę. Była niewielka, dziecięca, nie przymierzając. Bez asekuracji kapitan z pewnością wypadłaby i potoczyła się po podłodze pod przeciwległą ścianę.

Złodziejka zacisnęła pięści i przelknęła ślinę. Margo po raz pierwszy otworzyła przy niej podwoje swej szafki z pitnym ogniem. Nic nie działo się tu przypadkowo.

– Zaoferowałabym ci – powiedziała Margo, gdy zamknęła barenki i odwróciła się w stronę Alyn – ale mam do ciebie żal za tamtą manierkę, *vaika*.

Kobieta sprawnym, wyćwiczonym setkami powtórzeń, ruchem otworzyła szufladę, wyjęła z niej szklankę i wrzuciła do niej zdjęty kciukiem korek butelki, po czym zasunęła ją biodrem. Choć kolejna fala szturchnęła „Boskim Wiatrem” tak mocno, że Alyn wydawało się, że coś trzasnęło w poszyciu, kapitan, nalewając, nie uroniła ani kropli.

– Trochę cię rozumiem, sama kiedyś byłam jak ty. Rozgość się – powiedziała Margo i wskazała dziewczynie rozbujany, przewrócony zydelek. Zacerpnęła głęboki łyk ze szklanki.

– Postoję – odrzekła Alyn i oparła się plecami o ścianę przy drzwiach. – O co chodzi?

Nie była szczęśliwa. Ostatnie dni nie były łatwe i nie zanosilo się, by to niespodziewane zaproszenie

miało cokolwiek zmienić. Sytuacja wymagała przejęcia inicjatywy. Czegokolwiek chciała od niej Szalona Margo, Alyn nie mogła pozwolić sobie na wpisanie się w rolę milczącej podwładnej. Skądś w końcu wzięła siłę woli, by zmusić załogę „Boskiego Wiatru” do zabrania jej i Toryna w powrotny rejs do Zakkanu. Wystarczyło znaleźć ją na nowo. Choćby jej strzęp.

Mimo to dziewczyna nie znajdowała w sobie odpowiednich słów, a jej myśli krążyły niespokojnie wokół choroby brata, Żółwia, który poświęcił się dla Kaim, i dopiero co ujranej czaszki w barku. Kolejnej tajemnicy domniemanego szaleństwa kapitan tego przeklętego szkunera.

Gdy dostrzegła minę Alyn, Margo uśmiechnęła się i oparła udami o pulpit. Pociągnęła kolejny łyk.

– Przez jakiś czas zupełnie mi to umykało, ale teraz wreszcie to widzę. Przypominasz mi kogoś. Miała chyba piętnaście lat, gdy pojawiła się na moim statku. Ona i ta jej mała przybłęda – powiedziała i skinęła w stronę zamkniętych drzwiczek barku.

Złodziejka poczuła na plecach dreszcz. Kapitan kontynuowała:

– Traf chciał, że też cumowaliśmy w Yarren. Wśliznęły się nocą i schowały pod pokładem. Ta starsza miała na imię Raina. Taaak... Raina. Do dziś nie wiem, na co liczyła, ale gdy tylko ją zobaczyłam, różową na twarzy i z tymi jej długimi białymi kłakami, wiedziałam, że coś z nią jest nie tak. Takie rzeczy – Margo zmrugała oczy i popukała palcem w skroń – się widzi od razu. A ona była zła. W środku była zła. Brudna. Jak nie człowiek, rozumiesz? To przez te oczy. Ledwo jej cycki wyrosły, a już szlajała się po ulicach. Kto wie, komu zdążyła już swą cipę nastreczyć. Mało na Kaim zboczeńców? Och, żebyś widziała, jakim wilkiem na mnie patrzyła, gdy ją tu przesłuchiwałam. A musiałam się dowiedzieć, co ona za jedna, bo na pokładzie miałam już swoich chłopców... Gdzie te czasy?

Kapitan ostatnie zdanie niemal wymruczała, po czym wlepiła wzrok w plamę cienia na ścianie. Alyn czuła, że opowieść zmierza w bardzo nieprzyjemnym kierunku, ale nie stać jej było na żadne wyskoki. Czy tego chciała, czy nie, z uwagi na stan brata była na łasce Margo. Potrzebowała jeszcze dnia, dwóch, by stanąć z powrotem na zakkańskim lądzie i nigdy więcej nie spojrzeć na „Boski Wiatr” i jego załogę. Potrzebowała tylko dotrzeć do domu. Więc milczała.

– Dziękuj zatem swoim bóstwom, *vaika*, że ulepiono cię z ludzkiej, a nie tej splugawionej gliny – podjęła po chwili Szalona Margo. – Mała dziwka, tfu. Rzuciała się jak chora lwica, a była niczym więcej niż pyską krową. A ja się i tak ugięłam. Dostała kajutę, a jak. Za pracę. Obu siks, oczywiście, bez wyjątków. Suka pyskowała jeszcze bardziej. – Kapitan obróciła się całym ciałem w stronę Alyn i wbiła w nią przenikliwe spojrzenie. – A potem zaczęła rozmawiać z chłopcami, rozumiesz? Nakręcać ich przeciwko mnie. Mało by się jej udało. Była tuż, tuż od tego, by poszła z Merynem w port, do którego mieliśmy zadokować. Zabrakło jej dnia, gdy się o wszystkim dowiedziałam. Wrzuciłam je obie do zęzy, a potem przychodziłam tylko z chłopakami, żeby pokazać im, co robi się z takimi jak ona. I powiem ci, że wychowałam bardzo pojętnych synów. Rozumiesz? To była jedna część kary. Drugą dostawały raz dziennie w porze kolacji. Do podziału. I tak się dzieliły, że do kolejnego cumowania została już tylko ona jedna. Białowłosa pomiot. A mała... Po małej mamy pamiątkę.

Margo uśmiechnęła się samymi ustami, odsłaniając dwa rzędy nierównych, zażółconych zębów.

– Ha, ha, ha! – kapitan roześmiała się po chwili, widząc, że jej wybieg przyniósł spodziewany efekt.

Kolejnym haustem opróżniła szklanę do czysta. – Każdemu opowiadam tę historię. Uwielbiam patrzeć na wasze miny.

Alyn chciała, z całej siły chciała również się roześmiać. Przedni żart, masz mnie, chciała powiedzieć. To byłoby takie łatwe. Podzielić ten moment z Margo. Dotrwać. Przetrwać.

Zamiast tego czuła niepokój. Historia opowiedziana przez Margo nie była zmyślona. Była tego tak pewna, jak pewien mógł być ktoś, kto wciskał innym kit przez całe życie. Ale najgorsze było to, że zamiast obrzydzenia i gniewu jedynym, co czuła, była fascynacja. Niezdrowe podniecenie losem tej, która tak jak ona sama odwiedziła Kaim. I była inna. Odmieniona? A może też przywiedziona przez Górę Gigantów?

– Co się z nią stało? – zapytała Alyn i odchrząknęła, aby nie załamał się jej głos. – Z tą białowłosą?

Kapitan nie odpowiedziała. Niespiesznie nalala sobie jeszcze łyk, otwierając i zamykając barek, pozwalając ciekawości zdanej na jej łaskę dziewczyny powęszyć jeszcze chwilę w tajemnicach przeszłości. A potem wypila płynny ogień jednym haustem i zapytała:

– Czujesz to? – ton jej głosu był surowy, wyprany z emocji. Jakby reakcja głupiej *vaiki* z Zakkanu nie była taka, na jaką liczyła. – Czujesz? Sztorm łżeje. No, co tak stoisz jak cielę? Odezdziesz się wreszcie?

Ale choć chciała, choć naprawdę chciała tego, dla siebie i dla Toryna, Alyn nic nie powiedziała. Zamiast tego uniosła głowę i odwzajemniła spojrzenie Szalonej Margo. Długo. Dłużej, niż to było bezpieczne.

Następnie, z trudem powstrzymując się od splunięcia, odwróciła się, otworzyła z impetem drzwi i wyszła z powrotem na deszcz.

*

Tak jak się spodziewała, wpadli do kajuty w nocy. Wiedzieli, gdzie i jak łupnąć, by liche zawiasy puściły jak suche gałęzie. Drzwi z impetem wleciały do środka. Alyn nie spała, ale przez wciąż intensywny szum fal i trzeszczenie kadłuba nie usłyszała ich, aż było za późno. Mieli pojedynczą lampę, która od dołu oświetlała ich wykrzywione w grymasach odrazy i nienawiści twarze. Najstraszniejsze było jednak to, że choć przez ostatnie wieczory gęby im się nie zamykały, w ciągu tych kilku krótkich chwil nie odezwali się ani słowem. Zanim zdążyła zareagować, złodziejka poczuła, jak unieruchamiają jej nogi i łapią za ręce. Gdy zsunęli ją z pryczy, spróbowała wierzgnąć, trafić w lampę, spalić ten przeklęty statek, rzucić na pożarcie rybom i glonom. Ale byli sprytniejsi. Wynieśli ją we dwóch jak wór, choć rzucała się i wrzeszczała z całych sił. Choć wiedziała przecież, że nikt nie przyjdzie im z pomocą. Nikt, bo w swej pysze zabroniła Margo wziąć na pokład kogokolwiek poza nią i Torynem.

Nikt, bo jedyna osoba zdolna tego dokonać, giermek Argus zwany Żółwiem, pozostał na Górze Gigantów w Kaim, o tydzień rejsu stąd.

Próbując się uwolnić, Alyn zerkała co chwilę za siebie. Szukała wzrokiem Toryna. Jej brat był półprzytomny, nie stawiał oporu. Zanim wynieśli ich na pokład, zdołała dojrzeć błysk w jego oku. Wiedział, co się dzieje, ale nie był w stanie temu przeciwdziałać. Jego zwiotczałe ciało przelewało się im przez ręce.

Na zewnątrz wciąż wiało, ale już nie tak intensywnie. Deszcz ustał. Spomiędzy rzadkich chmur na niebie łyaskały ogarki gwiazd, a światło księżyca oświetlało bladą luną huśtające szkunerem fale. Na swój ironiczny sposób było ładnie.

Synowie Margo przynieśli rodzeństwo na prawą burtę i oparli o reling. Nie puszczała. Kołyszący się horyzont w oczach złodziejki to jaśniał światłem nocnego nieba, to wpadał w połyskującą srebrem czarną toń niespokojnych wód morza. Alyn przełknęła ślinę i wypowiedziała w myślach słowa, które niczym sępy nad padliną krążyły w jej głowie od momentu, gdy zapadł wieczór.

Zostały nam już tylko chwile.

– To całkiem zabawny zbieg okoliczności – zza pleców złodziejka usłyszała głos Szalonej Margo. Kobieta była pijana. – Bo jeśli mnie mapy nie mylą, to właśnie gdzieś tu pożegnaliśmy się z tą białowłosą suką. Co nie, chłopcy? Pamiętacie?!

Przytaknął jej jednolity pomruk. Któryś z marynarzy splunął za burtę. Inny złapał Alyn za pośladek i ścisnął tak mocno, że musiała użyć całej swojej woli, by nie zawyc z bólu.

– Próbowalaś skoczyć wyżej dupy, amatorko – powiedziała Margo do ucha dziewczyny ciepłym zapachem przetrawionej gorzalki, po czym odwróciła się w stronę załogi. – Dobra, chłopcy, jego za burtę, ją, gdy z nią skończycie. Byle rychło!

Zanim zauważyła, jak Toryn przelatuje przez reling, Alyn usłyszała krótkie szurnięcie, a następnie głuchy plusk gdzieś hen na dole. Jakaś dłoń złapała ją za biodro, druga ścisnęła jej pierś.

– Pierdol się, Margo! – wrzasnęła i szarpnęła całym ciałem. To dało jej moment swobody, którego potrzebowała. Nie bacząc na ból wykręcanych nadgarstków, odbiła się od czyjegoś uda i przeleciała nad relingiem. Mgnienie oka później wypuściła z płuc głębokie, zamknięte w całej konstelacji bąbli westchnienie, gdy morze przywitało ją i objęło jej całe ciało mroźnymi dłońmi.

Kiedy woda całkowicie zatrzymała jej upadek, przez najkrótszą z chwil rozważała, czy nie byłoby lepiej, gdyby zanurkowała jeszcze głębiej, w nieznanie. Ale gdy jej dłoń natrafiła na strzępek materiału, chwyciła go z całej siły i wystrzeliła do góry, ciągnąc go za sobą. Do powietrza.

– Toryn! – wrzasnęła, gdy głowa jej brata wychynęła na powierzchnię. – Toryn, wierzgaj nogami! Walcz! Walcz, kurwa!

Zrazu zwiotczała twarz Toryna nagle zaczerpnęła głęboko powietrza i kaszlnęła. A potem jej brat zamachał rękoma, jakby chłód nagle orzeźwił go i przywrócił siły. Żył. Chciał żyć. Alyn nie potrzebowała wiedzieć więcej.

Fale to unosiły ich, to niosły z powrotem w czarną toń. Rozmazana sylwetka pękatej rufy „Boskiego Wiatru” nieustannie oddalała się, ale na horyzoncie było coś jeszcze.

– Toryn! Spójrz tam! Czy tam jest ląd?!

Złodziejowi chwilę zajęło skupienie wzroku, aż wreszcie jego twarz po raz pierwszy od dawna wykrzywiła się w grymasie półuśmiechu.

– Alyn, siostrzyczko! – wycharczał. – Jest! Jest, ale nie dopłyniemy tam wpław! Nie ma, kurwa, mowy!

– To samo powiedziałam sobie, gdy kazali ci przeskoczyć mur w Jurdze, durniu! – krzyknęła złodziejka i spojrzała bratu prosto w oczy. – Toryn, posłuchaj mnie uważnie! Teraz cię puszczę, spróbuj utrzymać się na powierzchni. Oszczędzaj siły, ale nie odpływaj! Zgoda? Trzymaj się blisko!

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się nagle Toryn i niemal zachłysnął się wodą. – Pływaki! Nie wierzę, podkitrałaś im pływaki!

– Jeden! Tylko jeden!

Alyn uśmiechnęła się, na ile pozwoliły jej zmarznięte mięśnie twarzy, i czując, jak z chwili na chwilę grabieżą jej dłonie, wyszarpnęła zza pazuchy płaski skórzany worek. Następnie wtoczyła w niego kilka głębokich haustów powietrza, aż pociemniało jej przed oczami i zrobiło się jej gorąco.

Gorąco i duszno na środku otwartego morza.

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie i gdy zdała sobie sprawę z popełnionego błędu, było już za późno. Zaczęła tracić przytomność, jej zdrętwiałe dłonie nie były w stanie dłużej utrzymać balonu, a tym bardziej zakorkować go i zawiązać. Mogła tylko biernie obserwować, jak wypuszcza jedyną deskę ratunku, a niespokojne wody wyciągają dłonie po jej szyję, usta, nos.

Oprzytomniała, słysząc mrozący krew w żyłach, zachrypnięty ryk. Była w objęciach Toryna, który schował uszczelniony balon z powietrzem pod pachą. Krzyczał, ale nie rozumiała słów. Woda zatkała jej uszy. Czując, jak ściśnięte między jego barkiem i jej szyją szkła na skórzanym pasku wrzynają się jej w ciało, poklepała go po plecach.

– Będziemy żyć, Alyn – powiedział jej brat i pocałował ją w policzek. – Patrz, niedługo poranek. Będziemy żyć.

*

Fale przyboju wyrzuciły ich, wycieńczonych, na piaszczystą plażę kilka chwil po tym, jak nad horyzont wzniosło się czerwone oko brzasku. Obmywani przez słoną wodę leżeli plackiem długo, to śmiejąc się, to płacząc ze szczęścia, to klnąc z wściekłości i nienawiści. Tak długo, aż zaczęło ich przypiekać słońce, aż wreszcie trzeba było podnieść się i stanąć twarzą w twarz z nową przerażającą rzeczywistością. Aż zdali sobie w pełni sprawę, że są nie wiadomo jak daleko od Saahii czy jakiegokolwiek osady, bez wody pitnej i ochrony przed żarem. Bo gdy stanęli plecami do morza, przed nimi rozpostarła się niezmiernie duża jasnożółta pustyni.

– Jesteśmy w Zakkanie, nie ma co do tego wątpliwości – stwierdziła Alyn, rozczesując palcami twarde strąki włosów. – Płynęliśmy od północy, więc Saahii będzie gdzieś...

– Tam – powiedział Toryn i wskazał horyzont na morzu. – Zatoka Nomadów wgrzyza się w ląd szerokim łukiem, więc jeśli chcemy dostać się do domu, będziemy musieli obejść ją wzdłuż brzegu.

– Wybornie – parsknęła Alyn. – Jak się czujesz?

– Nieźle, siostrzyczko. Naprawdę nieźle. Przez ostatnie dni nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, ale dziś jest ina... Ekhe...

Toryn zgiął się wpół i niespecjalnie obficie rzygnął wodą i żółcią. Splunął kilkakrotnie i otarł usta przedramieniem.

– Ale powiem ci – rzekł, gdy odzyskał oddech – że rano było lepiej. Jak było chłodniej, było lepiej.

Złodziejka uśmiechnęła się, ale na jej twarzy momentalnie wykwitł grymas bólu, gdy poczuła znajome klucie w piersi. Potrzebowała niebieskiej krwi Maszyny. Oboje jej potrzebowali. Działała jak narkotyk. Pozostało mieć nadzieję, że to tylko chwilowe. Że da się to przetrwać.

– Na północ od Saahii pustynia jest większa i sięga dalej – powiedział Toryn. Wyprostował się i zakrył

dłonią oczy przed słońcem. Nagle odwrócił się w kierunku siostry. – Ale nie jest nieskończona... Na Isztar, Alyn, gdzieś tu musi być Maraak!

– Maraak? Rzeka?

– Tak, tylko ona i Szikra są na tyle szerokie, żeby zdołały przeciąć całą pustynię i dotrzeć z gór Buraaha Jir aż tak głęboko na południe. Potrzebujemy wody pitnej. To nasza szansa. Słowo daję, umieram w tym upale. Idźmy brzegiem, bylebyśmy mogli moczyć ubrania.

Alyn spojrzała na brata w zamyśleniu. W jej głowie rodziła się teoria, ale nie była gotowa się nią podzielić. W rodzinie o stałe trzymanie języka za zębami w ważnych kwestiach wyjątkowo skutecznie zatroszczył się ojciec.

– To co – powiedziała wreszcie, gdy rozejrzała się. – Północ czy południe?

– Jeżeli chcemy iść do domu, jeżeli chcemy zobaczyć się z Kai...

– Kai urwie nam obojgu głowy, wiesz o tym, nie?

Toryn zamknął oczy i uśmiechnął się. Tęsknił za przyjaciółką podobnie jak Alyn. Jeśli nie bardziej.

– Chodź do wody, braciszku – powiedziała złodziejka i roztrzępała bratu sklezione włosy. – Chodź, a potem ruszymy na południe.

– Poczekaj, Alyn, ja... – Toryn westchnął, machnął rękoma, po czym, marszcząc czoło w bólu, wstrzymując kaszel, podszedł do siostry, objął ją i pocałował w czoło. – Cieszę się, że po mnie przyszedłeś.

*

Szli wolno, ale nieustępliwie. Aż piasek plaży zamienił się w kamienie, a brzeg wyrósł skalistą ścianą wysoko ponad poziom morza. Najgorsze chwile pierwszego południa przeczekali w wąskim cieniu głazu, który wyglądał, jakby wtoczył się mozolnie na szczyt klifu i zastanawiał teraz, czy skoczyć i zakończyć swoje marne istnienie w płytkich falach na dole.

Przypuszczenia Alyn okazały się w dużej mierze słuszne – chłód łagodził objawy choroby. Pozwalał trzeźwo myśleć i pozbawiał bólu. Tak długo, jak mieli dostęp do brzegu, było dobrze. Ale na klifie, w miejscu, gdzie cała bezkresna połać morza była w zasięgu wzroku, niedostępność wody – i tej pitnej, i tej morskiej, chłodzącej spocone ciała – była szczególną katorgą.

Gdy przyszedł wieczór, brzeg zaczął łagodnie opadać, a pluskające daleko w dole morze na powrót przybliżyło się na tyle, by poczuli jego wyraźny zapach. Ale choć oboje garnęli się wręcz, by kulejąc od otarć, zanurzyć się z powrotem po pas w słonej uldze, przyszłość niosła kolejne wyzwania. Już niedługo zapaść miał zmrok, a wraz z nim nadejść pustynne zimno. Prawdopodobnie przez jakiś czas znośne dzięki ciepłym wiatrom, które wiały od lądu. Ale wkrótce i one miały się oziębic, i będzie trzeba przetrwać jakoś noc. Znaleźć schronienie, wyschnąć, a najlepiej wtulić w siebie nawzajem w jakimś kokonie, by ciepło mogło migrować między zmarzniętymi ciałami. Jak w Rowan. Ale jak dotąd wciąż było nieznośnie gorąco, a owe ciała protestowały, każdym porem skóry plwając i wykrzykując ku swym właścicielom wulgarne epitety.

I gdy wreszcie zeszli z klifu z powrotem ku plażom, a Alyn już miała wziąć rozbieg, by rzucić się prosto w nadpływające fale, Toryn chwycił ją z całej siły za ubranie.

– Czeka! Patrz!

Złodziejka na powrót nałożyła szkła na oczy i wyteżyła wzrok we wskazanym kierunku. Na drugim końcu niedługiej mokrej łachy, która dalej kończyła się pionową skalną ścianą, majaczyła czyjaś sylwetka. Nie ów człowiek jednak sprawił, że Alyn zachłysnęła się powietrzem i zmrużyła powieki, by widzieć wyraźniej, tylko to, co stało obok niego.

– Toryn, czy to...

– Tak.

– Jesteś pewien? Jesteś absolutnie pewien, że to...

– Tak.

– Isztar – szepnęła złodziejka i spojrzała w niebo – chyba zacznę w ciebie wierzyć.

*

Mogli nadłożyć drogi i zejść go od strony lądu, żeby zauważył ich dopiero, gdy będą już blisko, ale Toryn przekonywał, że nie ma lepszego sposobu na to, by ktoś opacznie odczytał twoje intencje, niż podejść go zniemacka. Lepiej było pokazać się jak najwcześniej. „Uczciwiej”, powiedział, choć dziewczyna zdawała sobie sprawę, że przy jego stanie droga naokoło po skałach mogłaby się wydłużyć na tyle, że tajemniczy mężczyzna zdążyłby w międzyczasie zabrać swoje toboły i zniknąć im na dobre.

– W zasadzie czy my wyglądamy na jakichś złodziei? – rzekł jej brat, kończąc swój wywód, i roześmiał się, a potem długo kasłał, zakrztusiwszy się śliną.

Jak przewidzieli, nieznajomy zauważył ich, na długo zanim zbliżyli się do niego na odległość krzyku, choć Alyn miała podejrzenie, że jego uwagę równie dobrze mogło zwrócić niehumanoidalne wręcz charczenie Toryna, gdy jego krtań brała sobie za punkt honoru wypluć całe płuca. Mężczyzna przez kilka chwil zdawał się wahać, czy zostać, czy chwycić lejce swych dwóch wielbłądów i czym prędzej wziąć nogi za pas. Być może wyraźnie widoczna przypadłość podtrzymywanego przez niewiastę mężczyzny przekonała go o tym, że w razie czego byłby w stanie się obronić. Być może był dobrym człowiekiem.

Być może po prostu bardzo głupim.

– *Isztar-adija*, wędrowcze! – zawołała Alyn, gdy nieznajomy zatrzymał ich gestem kilkanaście kroków od siebie. Zdawała sobie sprawę z tego, że wygląda wystarczająco kuriozalnie i podejrzanie ze szklami Zakarego na oczach, więc odwróciła głowę tak, by choć odrobinę zasłonić wygoloną skroń i przecinającą ją jak pasmo górskie szramę po siekierze kobiety, która zginęła z jej ręki. – Jesteśmy rozbitkami, szukamy drogi do domu!

– *Adija ara-ara* – odpowiedział mężczyzna bez entuzjazmu. Miał zaskakująco wysoki głos. – Stójta tam, gdzie stoicie. Wiecie, co to jest?

Nieznajomy o brodatej, pomarszczonej twarzy ubrany był w szarą, wymęczoną przez upały, wiatry i czas dżalabiję, która skrywała szczupłe ciało. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet skierowany ku piaskowi w punkcie znajdującym się dokładnie w połowie dystansu pomiędzy nim a wędrowcami.

– Flinta Wezyra Szarida – odrzekła Alyn ze swadą, która, jak sądziła, skutecznie ukryje fakt, że nie wiedziała, o czym mówi. Widziała coś takiego raz w życiu w warsztacie Zakarego i choć zdawała sobie sprawę z tego, do czego jest zdolne, nie miała pojęcia, jak działa. Oprócz jednego prostego faktu: przed użyciem trzeba

było poświęcić sporo czasu na jego naładowanie.

– Księcia Husajna – powiedział nieco głośniejszym głosem, pewniej i, co najważniejsze, przyjaźniej, nieznanym. Nie opuścił jednak broni. – Ale blisko. A temu co jest?

– Popołudniowa rozedma, przechodzi wieczorem – złodziejka czuła wyraźny przypływ blagierskiej inspiracji, ale bynajmniej nie była z tego względu zadowolona. Nomada wyglądał w porządku. – To mój brat, Toryn. Ja jestem Alyn. Płynęliśmy do Saahii, gdy złapał nas sztorm. Wyrzuciło nas pół dnia drogi stąd. Potrzebujemy wody albo chociaż informacji o tym, jak daleko nam do domu.

– Do domu? – mężczyzna zasępił się i poruszył wąsem. – Nie wyglądacie na Zakkańczyków. Skąd mam wiedzieć, żeśwa nie najemnicy albo, tfu, złodzieje? No?

– Pochodzimy z Rowan – powiedział Toryn i wyprostował się, podpierając na ramieniu siostry. – Ale tu jest nasz dom. *Wahal nami khab, unta nemi, a?*

„Tam mój dom, gdzie wielbłądy”, pomyślała Alyn. Dobrze. A wtedy, na moment, nie wiadomo skąd, przed oczami stanął jej obraz z ciemnej jaskini pod Górą Gigantów, a na nim oświetlone pojedynczym promieniem słońca martwe ciało Jakoba De Witta. I dzień na powrót stał się wredny i parszywy.

Tymczasem mężczyzna ponownie zasępił się i tym razem trzykrotnie poruszył wąsem, aż wreszcie wsunął flintę za pas opinający dżalabiję, uśmiechnął się i skinął głową w geście zaproszenia.

– Na imię mi Levander, a to Ora i Nera – nomada wskazał na przyglądające się z uwagą całemu zajęciu zwierzęta. – Cudowne istoty, ale nie lubią obcych. Plują i gryzą, więc trzymajcie się od nich z daleka, zrozumiano? Siądzwa, przyniosę bukłak.

Usiedli i z wdzięcznością przyjęli wodę, a jej chłód orzeźwił ich ciała i otrzeźwił umysły na tyle, by po przeniesieniu się w bardziej osłonięte przed wiatrem miejsce pod skałą mogli bez nadmiernej natarczywości przeprowadzić z Levanderem wywiad na najbardziej palące tematy. A jako że nomada, mimo że czuć było w nim rezerwę wobec obcych, okazał się wcale gadatliwy, rozmawiali do zmroku.

Okazało się, że owszem, życiodajne, zielone ujście Maraak było relatywnie niedaleko. O zaledwie dwa dni drogi na północ, czyli w kierunku, z którego nadeszli. Jednocześnie znaczyło to, że byli bliżej stolicy Zakkanu, niż się obawiali, a choć Levander nie wybierał się bezpośrednio do miasta, zaoferował swoje towarzystwo w tej części swojej drogi, która wiodła na południe wzdłuż zatoki. Toryn przyjął propozycję w imieniu ich obojga, głaszcząc krótkie, zgolone włosy na skroni siostry. Niedługo później wszyscy położyli się spać – nomada między ciepłymi ciałami swych wielbłądzic, Alyn i Toryn w skalnym załomie.

Słuchając miarowego oddechu brata i łagodnego szumu wód zatoki, złodziejka nie zmrzyła w nocy oka.

Rankiem ruszyli w drogę. Rażno – tak, by pokonać jak najwięcej dystansu, nim słońce uczyni wędrówkę nieznosną, a objawy Toryna poważnymi. Levander wysforował się naprzód. Wynajdował najodpowiedniejsze ścieżki dla swych objuczonych zwierząt, ale nie oddalał się jednocześnie od falującego to plażami, to klifami wybrzeża.

Przed południem natrafili na na poły zasypaną, na poły wyżartą przez piasek i wiatr zagrodę, którą dawno temu ktoś wyjątkowo odważny postawił na szczycie górującej nad morzem skały. Pośrodku stały krzywe ściany zniszczonej chatynki, pomiędzy którymi w jakiś nieprawdopodobny sposób zachowało się kilka

desek tworzących prowizoryczny dach. Po ostrożnym umieszczeniu obok nich jeszcze paru znalezionych w okolicy i wykopaniu przytulnego dołka troje wędrowców przysiadło wewnątrz na odpoczynek, chroniąc się przed bezlitosnym żarem. Popołudniem dopili resztkę z wczorajszego bukłaka, zagryźli sucharami przygotowanymi sproszkowanymi liśćmi ziół i ruszyli dalej. Co i raz wyglądali na morzu statków, jak mew, które na otwartych wodach zwiastowały bliskość lądu. Choć burczało jej w brzuchu, Alyn wtedy właśnie zaczęła odkrywać, że pustka w jej żołądku była niczym wobec morskiego wiru, który przez ostatnie dni otworzył się gdzieś głębiej, w centrum jej istnienia. Który wsysał zapachy, dźwięki i barwy.

Znała na to lekarstwo, ale najpierw trzeba było dotrzeć do miasta.

Nim na horyzoncie wyrosły igły wież dzielnicy handlowej Saahii, wędrowali jeszcze trzy dni. Drugiego zahaczyli o schowaną w kotlinie między wydmami osadę koczowników, gdzie Levander zaopatrzył się w prowiant na dalszą wędrówkę i wykonał kilka transakcji z okutnymi w brązowe szale, bezzębny tubylcami o suchej, pomarszczonej skórze twarzy i czujnych oczach. Sposób, w jaki patrzyli na wymiętą, zasoloną i wypłowiałą już, ale wciąż solidną kurtkę Toryna, podsunął złodziejowi pomysł, który zrealizował następnego dnia, gdy ich przewodnik uznał, że widok miejskich murów w oddali to wystarczający powód, by odbić w głąb pustyni, na zachód.

– Na pustyni życie jest święte – rzekł nomada, gdy stanął w rozkroku u szczytu niewielkiej wydmy, z której roztaczał się znakomity widok na majaczące w oddali w gorącym powietrzu zabudowania. – W tym mieście święte są tylko kłamstwa i pieniądze.

– Nie mamy jak ci się odwdzińczyć, Levander – powiedział Toryn i uścisnął dłoń mężczyzny, a potem wcisnął mu w nią swoją skórzaną kurtkę. – Niech chociaż ona ci służy.

Zaskoczona hojnością tego gestu Alyn uśmiechnęła się z oddali do brata i nie zważając na niespokojne poparskiwanie wielbłądź, które odpoczywały na piasku, podeszła i przytuliła się do szyi każdej z nich.

– Wam też dzięki – szepnęła. – Opiekujcie się nim na szlaku.

Chwilę potem rozeszli się. Człowiek pustyni i dzieci miasta. Ziarnka piasku, które na najkrótszy z momentów w jedno miejsce przywiał nieustępliwy, pustynny wiatr.

Płomienie Imoren

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-954475-0-1

© Michał Kuszewski 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autora.

REDAKCJA i KOREKTA: Anna Raguza

OKŁADKA: Beata Haratym

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

www.michalkuszewski.pl

www.facebook.com/enkizm

kontakt@michalkuszewski.pl